Rzym 23. listopada r. 1868.

Inni lubią ruch dla ruchu, pracę dla pracy, a gdy doszli do końca ruchu lub pracy, obierają sobie nowy cel, nowe zadanie, aby mieć nowy ruch, nową pracę. Snać ruch więcej im sprawia przyjemności od celu, a praca od wyrobu: gdy cel osiągnięty, wyrób skończony, nudzą się okropnie i na wszystkie oglądają się strony, za nowym przedmiotem, aby móc ku niemu rozpocząć ruch nowy. Takich ludzi nazywają zwykle pilnymi; czy w tej ich pilności zasługa jaka, nie wiem, a nawet wątpię, bo wydają mi się raczej instynktem pobudzeni, gnani jakiemś niewytłumaczonem pragnieniem, niżeli jasnem przeświadczeniem o celu swojej gorączkowej czynności.

Zwykle odpowiadają, że nie mogą inaczej, bo ich P. Bóg takiemi stworzył. Ale po za tą skromną odpowiedzią ukrywają wielką pychę, a przynajmniej pogardliwą litość dla wszystkich tych, którzy nie podzielają ich zapału do pracy.

Ja z mojej strony czułem zawsze wielką pogardę dla tego rodzaju ludzi, pogardę przynależną wszystkim niewolnikom. Niewolnicy pracy: narzuciła im pęta i wlecze ich za sobą, bezwiednych, bezmyślnych, stąpających tam, gdzie ciężar kajdan wlecze. A jeszcze cieszą się z tej niewoli swojej, mówiąc, że to ich rozkosz, to ich kochanie. Gdyby zabrakło pracy, żyć by przestali, zabiliby

się na jej mogile. Wszak wiernych służalców zabijano na mogiłach ich panów! Jedyna godna ich zapłata.

Ubóstwiać narzędzie, okropny to fetyszyzm! narzędzie jest nicestwem, istniejącem o tyle, o ile mu dozwala istnieć cel jego. Bez celu zamienia się najdoskonalsze narzędzie w próżną, śmieszną nicość. Ona nie ma w sobie nic, coby uprawniało jej istnienie, gdyż cały byt jej zewnątrz niej, w celu. Odjąć cel ten, zasadę jej bytu, a zostanie nic, niegodne ani jednego spojrzenia.

To nic zamieniliśmy w jestestwo, próżne naczynie ogłosiliśmy pełnią życia, marne narzędzie przezwaliśmy celem. Dzisiaj praca, w dawniejszych wiekach wzgardzone narzędzie, stała się celem wszystkich, bożyszczem wszystkich, początkiem i końcem wszystkich, młodych i starych, silnych i słabych. Każdy rodzony do pracy!

Nad to zdanie nie znam większej niedorzeczności. Pracujmy, ale przeświadczeni, że posługujemy się lichem narzędziem, przed którem kłaniać się nie powinniśmy. Gdy robota skończona, odrzućmy narzędzie daleko. Czyż wbijając gwóźdź, aby na nim obraz zawiesić, stworzony jestem do młota, którym wywijam. Gdy obraz zawieszony, odrzucam młot z pogardą i nie myślę o nim więcej. Dzisiaj inaczej! trzymamy młot w ręku i kłaniamy mu się, mówiąc: jakiś ty piękny! jakiś ty wielki. Nikt nie stworzony do pracy, tylko do

tego, co z niej wynika.

Moja natura zupełnie przeciwnie ułożona, niż owych zapalonych pracowników. Mam wstręt do pracy, każdy ruch niepotrzebny jest mi nieznośną przykrością. Jak oni mówią, że pracują, bo nie mogą inaczej, tak ja niepracuję, bo nie mogę inaczej, bom taki stworzony.

Czasem w zapale jakiejś doraźnej pracy, łudziłem się przekonaniem, żem stworzony do pracy, że najlepszem uczuciem mojem krzątać się, poruszać się, działać. Ale przywidzenie ustało zawsze z osiągnięciem celu; gdy już miałem cel w ręku, nie czułem najmniejszej potrzeby pracy. Inni doszedłszy do jednego celu, wynajdywali zaraz nowe, jedynie na to, aby pracować, ja nigdy nie czułem potrzeby szukania zewnątrz siebie celów. Moja równowaga była mi celem moim jedynym.

Miałem w pierwszej połowie tego roku na to przykład wymowny. Zaproszony do Redakcji Biblioteki Warszawskiej uczułem potrzebę, aby stała się pismem europejskiem, jakąś Revue des Deux mondes. Była to zupełna czynność własna, a nawet egoizm, choć w połowie bezwiedny. Bo w tem pragnieniu było całe moje jestestwo, a prawie nic prócz tego. Nie chodziło mi o działanie na innych, o wielkie rezultaty, nie chodziło mi nawet o własną sławę, chociaż ta mi zawsze była wielce pożądaną, ale pozostawała na drugiem

miejscu. Na pierwszem miejscu było gorące pragnienie, aby dobór artykułów i całą powierzchowność czasopisma robiła na mnie i na polskich czytelników takie przyjemne wrażenie, jakie wspomniana Revue robi na francuskich.

Pragnąłem dalej, żeby ta Revue z treści i ducha była katolicką, nie tak przez wrodzony duch apostolstwa, przez chęć oświecenia ~~apostolstwa~~, lecz na to, żeby i w kraju naszym, na wzór innych zachodnich państw, istniało stronnictwo katolickie, a przyzwoitym, poważnym organem. Gdyby jedno i drugie już było istniało, nie byłbym się troszczył o nie, byłbym zadowolony bezwątpienia tem, że istnieją, ale byłbym się mało niemi zajmował. Ponieważ ich nie było, trzeba było je stworzyć, bo brak ten obrażał ideę harmonii, jaką sobie wyrobiłem pod wpływem niemieckiego panteizmu. Nawet w czasach, gdy go nienawidziłem, siedział tem w nim głębiej, niżeli myślałem, a dziś jeszcze setne po nim ślady zostały w mej duszy.

Idea harmonii, która poruszała moje jestestwo, i która górowała nad każdą myślą moją, była w uprawnieniu wszystkiego, dobrego i złego, bytu i niebytu. Nie masz wątpliwości, że kochałem, ubóstwiałem nawet światło, ale zawsze tylko pod jednym warunkiem, aby gdzieś na krańcach jego, niby przedrzeźnianie, istniała ciemność. I ciemność ta, dziwne zaiste pojęcie, była mi nawet drogą, bo uwydatniała światło, a nawet byłem przekonany, że bez niej światło obejść się nie może.

Gdyby ktoś nagle był usunął tę ciemność i postawił mi samo światło, byłbym zapewne czas jakiś niem zachwycony, ale potem byłbym niecierpliwie uczuł braki ciemności, i gdyby nikt nie był chciał jej przywrócić, byłbym sam ją wywołał, aby istniała. Potem byłbym wrócił do jasności, kontent z przywróconej harmonii.

Gdybym był ministrem, byłbym naturalnie przedewszystkiem dbał o dobre gazety konserwatywne, ale gdyby w kraju pisma liberalne, a nawet czerwone, nie mogły istnieć o własnych siłach, byłbym im udzielił subsydya, jedynie na to, aby wszystkie stronnictwa były reprezentowane w prasie.

Widać z tego, że nie chodziło mi nigdy o jednostki, lecz tylko o sztandar, pod którym stoją. A chociaż wedle zdania mego, jeden sztandar był powinien nad innemi powiewać, przecież nie byłbym pominął innych, choć najwięcej utrudnych, choć najwięcej poszarpanych.

Tym, którzy gorąco i prawdziwie kochają Boga, chodzi o to, aby wszyscy kochali w tym samym stopniu, ubolewają zaś niezmiernie nad każdym, który wyłącza się z tej miłości; chcieliby każdego obojętnego zapalić własnym ogniem swoim, wzdmuchnąć w nim płomień, czysty i potężny. Ja nigdy nie doznawałem podobnego uczucia. Prawda, że cieszyłem się, gdy w kraju którym kościół stał na czele społecznego rozwoju, a rozpaczałem, gdy upadał pod ciosami prześladowców, ale nie pra-

gnąłem nigdy, aby wszyscy należeli do kościoła, przeciwnie, jednostajność stąd wynikająca obrażała błędną ~~tęsknotę~~ ideę harmonii, o której całość chodziło mi przedewszystkiem. To też kraje, w których kościół nasz panował wszechwładnie, a wszelkie sekty pilnie poszukiwane były i tępione, nie cieszyły się nigdy moją sympatyą. Wydawały się martwemi. Życie upatrywałem tam tylko, gdzie wszystkie stronnictwa, wszelkie sekty, choćby najzgubniejsze, wszelkie szkoły, choćby najniedorzeczniejsze, z całą swobodą poruszały się, walczyły i nienawidziły; dzikie gwar niezgodnych głosów wydawał mi się zupełną, strojną harmonią.

Takiem powodowany uczuciem ubolewałem nad zgubą każdego rodzaju stworzeń. Indywidua niechby sobie ginęły, byleby ~~ich~~ rodzaj istniał. Ile razy czytywałem o udoskonaleniu sztuki myśliwskiej i zapowiadaniu zupełnej zatraty dzikich zwierząt pustyni, serce mi się krajało. Sama myśl, że kiedyś miał być czas, gdzie~~by~~ nie ~~było~~ będzie więcej wspaniałych lwów ani straszných w gniewie swoim tygrysów, sama myśl ta wydawała mi się okropną. Wielka rzecz, że lwy zjedają co rok kilkuset Beduinów, a tygrysy kilka tysięcy Hindusów, wszak rodzaj ludzki przez to nie zaginie! Dla czego więc wytępić dwa wspaniałe gatunki stworzeń, skoro ludzi i tak dosyć na świecie. . . . .

Pragnąłem zawsze, aby menażerya świata była w komplecie, aby tam nie zabrakło żadnego okazu. Dla tego ubolewałem nad zatratą plemion, choć zupełnie dzikich, gdzieś w lasach odwiecznych Ameryki lub na spalonych brzegach Australii; nad wymieraniem języków, choć najmniej rozwiniętych, najmniej zdolnych do życia. Chciałem aby z tego, co istniało kiedyś, lub co istnieje teraz, nic nigdy nie zaginęło, aby wszystkie rodzaje, gatunki, familie były zawsze w dostatecznej liczbie jednostek obecne w rzeczywistości. To też prawie do łez się wzruszyłem przed laty, gdy na kursie semickich języków dowiedziałem się, że istnieje jeszcze 200 familii, mówiących po samarytańsku. Byłem nieutulony w żalu, że już nie ma zakątka, gdzieby jeszcze mówili po kartagińsku.

Kochałem świat miłością archeologa lub naturalisty; patrzałem ~~aby~~ nań, niby na olbrzymie muzeum, nieprzejrzaną bibliotekę, zajmującą mnie o tyle, o ile dostrzegałem w niej nieporządku. Półki i szafki, w których panował ład zupełny, nie obchodziły mnie wcale, bo wiedziałem, że każdej chwili wszystkiego z nich dostać mogę. Za to nieład, brak jakiś niepokoił mnie, nawet robił czasem zupełnie nieszczęśliwym.

Ale czas, żebym nareszcie mówił o sobie, o duszy mojej i stosunku jej do Boga.

Przez długie lata nie czułem żadnej potrzeby religijnych ćwiczeń i nie zajmowałem się ani Bogiem ani kwestyami nadprzyrodzonemi. Przez długi czas ten, który zaczął się w gimnazyum a trwał przez cały pobyt mój na uniwersytetach niemieckich, byłem zupełnie obojętnym na wszystko, co z daleka tylko przypominało religię. Nie żebym był wtedy ateuszem, lecz właśnie niczem nie byłem, bo nie miałem żadnego zdania o tych przedmiotach ani nie czułem potrzeby, takowe sobie wyrobić.

25. lutego.

Spowiadam się przed Tobą, mój Boże, z rzeczy wielkiej, większej, niżeli mi się zdawało kiedykolwiek. Chodzi o Samego Ciebie i o miłość, jaką powinienem przynosić Tobie w ofierze. Dotąd nie kochałem Cię wcale, a więc nie żyłem życiem prawdziwem, bo i cóż znaczy życie bez miłości? Śmiech z takiego życia, ono śmiercią tylko!

A jednak powtarzałem Ci codziennie, że Cię kocham niewymownie, że Ciebie tylko szukam i nic prócz Ciebie! ileż to razy, gdyś świętem człowieczeństwem Twojem dotykałeś się drżących ust moich, szeptałem wzruszony do głębi: Ty jesteś wszystkiem dla mnie, a wszystko inne złudzeniem i marnem cieniem. Ach Boże mój, w tych słowach moich nie było nic prawdy, bo serce moje było gdzie indziej, było dalekiem od Ciebie.

Ale Ty wiesz także, mój Boże, że to kłamstwo moje

było bezmyślne, bo myślałem długo, że w dobrej wierze tak mówię. Dopiero usilne rozbieranie tego, co powtarzałem prawie codziennie przez czas tak długi, przekonało mnie, że tam się nie było prawdy, że kłamałem, a nic o tem nie wiedziałem.

Bo czyż większe wymyśleć można kłamstwo nad zapewnienie owo, że Ty byłeś dla mnie wszystkiem. Tak nie było, bo prócz Ciebie kochałem wiele innych rzeczy. I nie wiedziałem o tem? Takie być może, abym kochał rzecz jaką, nie wiedząc o tem? Przecież tylko to kochamy, co znamy, a nie poznawszy wprzódy przedmiotu miłości, pokochać go nie można.

I to nie raz pierwszy, że się chwytam sam siebie na ~~nie~~kłamanej miłości. Nigdyś nie znałem Ciebie, ~~nie~~ ~~nie~~ kochałem więcej ulotną doczesność, owe plewy, tańczące w powiewie wiatru, owe pyłki ledwo dojrzałe w ~~świecących~~ drżeniu się promienia słonecznego. Oto co ludzie mają za święte, za wielkie, za potężne. Ale wstydząc się to wyznać otwarcie, okrywają więc tę nędzną doczesność jakimś ideałem. I ja okrywałem nagość nikczemnych celów moich płaszczem takim i płaszczem tym była prawda.

Ale nawet tej prawdy, tego tworu rąk moich nie kochałem prawdziwie. Dla fałszywych bogów tylko na skłamaną miłość serce się zdobywa — chociaż w sumieniu swojem nie wie o tem, bo

inaczej byłoby niezmiernie nieznośliwe. Bo i jaką była moja miłość prawdy? Czyż byłem gotów służyć jej zawsze i wszędzie? Kochać ją bezwarunkowo? Dla niej porzucić wszystko i pójść nawet na kraniec świata? Broń Boże! Szukałem prawdy dla Polski bez tej i tamta nie miała dla mnie wartości. A więc nie kochałem prawdy, lecz Polskę. A ta miłość dla Polski, jaką ona była?

Czyż kochałem tę Polskę, która mnie otaczała? Nie, bo brzydziłem się jej stanem, bo i życzyłem jej jak najprędzej odnowy. Więc nie tej Polski kochałem, w której żyłem, lecz innej, swobodnej i potężnej? Więc może Polskę przeszłości, bo ta była niegdyś swobodna i cała? Broń Boże, brzydziłem się tą przeszłością i wolałbym raczej Polski, niżeli Polskę przeszłości. Cóż więc kochałem? Pewnie nic rzeczywistego - bo dziś tylko są rzeczywistości: obecna i przeszła, o przyszłej nic nie wiemy. Jeżeli kochałem przyszłą Polskę, to taką, jaką sobie życzyłem: z potężną armią i wielkiemi miastami, z licznemi zamkami panów po wsiach a fabrykami po miastach, ~~[illegible]~~ panującą na dwóch morzach, wskazującą całej Słowiańszczyźnie.

Czyż to nie fantom, czyż on więcej ma w sobie rzeczywistości od wymarzonej dziewicy, od pięknego konia lub charta, ~~jaki sobie życzymy~~, a którego obraz stworzony w wyobraźni mojej.

Stan niefilozoficzny ~~—~~ znajdzie w tem różnicę niesłychaną, ja zaś widzę żadnej, bo wszystkie te obrazy, jakkolwiek jeden wspanialszy, drugi więcej poziomy, nie różnią się w treści, one wszystkie są myśli, one wszystkie kreślicielem dziełem naszego ja i myśli naszej.

Gdy biedak jakiś marzy o smacznej kiełbasie, ~~opływającej~~ ociekającej się od tłuszczu a wieńczącej sporą miskę wonnej kapusty. Inny znowu, ~~marzyciel lub też~~ myśliciel oderwany, widzi się (w duchu) bohaterem oswobadzającym naród swój, jęczący od lat wielu w kajdanach niewoli, widzi się królem zaniedbanego społeczeństwa i urządza je na nowo. Z pierwszego się śmiejemy, lub szydzimy ~~jeśli nie gardzimy~~ otwarcie, drugiego poważamy, gdy obraz myśli swojej wytworzy pięknie i logicznie. A przecież nie masz zasadniczej różnicy między [illegible] pierw~~szym~~ego a drugi~~m~~ego, bo obaj ~~szczepią~~ kochają ideę, która dzieckiem jest ich własnego ja: że jedna ~~zrodził~~ wylęgła się ~~przez~~ kaczka, a drugiemu dumne orlę, nic to do rzeczy samej: zawsze to ich płód własny, a tym samym fałszywy, złudny, nie rzeczywisty. Ludojady w Ameryce tworzą sobie z szarego kamienia straszne bożyszcza, obrzydliwe maski, Grecy z białego marmuru ~~ludzi~~ wykuwali postacie, jakich nie masz na ziemi, w których coś siły boskiego, choć to ~~przeszkadza~~ mimo to, że ~~jedne~~ i drugie ~~są~~ nie są równie ~~są~~ fałszywe, (jak pierwsze,) i równie dalekie od Boga prawdziwego. Lub choć ~~oświeci się~~ rozbudzi się może kto z ~~twierdzeniem~~ na twierdzeniem, że

greckie cudny posąg więcej zbliżony do Bóstwa, niżeli bałwan meksykańskiego ze smoczą głową? Śmieszne twierdzenie: to zwykła możności stworzenia twierdzić, że kto się wdarł na najwyższy szczyt Kordylierów, ten bliższy Boga od tych, co przechadzają się w niskiej dolinie. Tłum tak sądzi, ale też od niego do kamienia!

Biedny umyśle ludzki, jakiś ty ciemny i niekształtny, gdy w sobie Boga nie masz. Zaprzeczasz twoje śmieszne a zarazem złośliwe. Czerpać pociechę z niższych sfer stworzenia, jest w oczach twoich słabością, czerpać ją z siebie samego, szczytem doskonałości. A dlaczego tak sądzisz? Boś zapomniał o Bogu, a człowieka, lub raczej siebie samego postawiłeś na miejscu Jego. To też nie dziw, że co z ciebie pochodzi, uważasz za wyższe i lepsze, a co z niższych stworzeń, za grube i materyalne. Śmieszny głupcze! Któż cię tak sądzić nauczył? Prawda, że jesteś panem świata, jego najdoskonalszym wyrazem, ale tylko, o ile masz Boga w sobie. Gdy od Boga się odwrócisz, gdy się zamkniesz w sobie, znaczysz w oczach Boga mniej jeszcze niżeli pyłek, który zdmuchniesz pogardliwie z twojej książki.

Ty mówisz o pociechach zmysłowych i o pociechach, godnych rozumu. Pierwsze są dla ciebie obrzydliwością a drugie jakimś ideałem. A

ja ci mówię: prędzej zlituje się Bóg nad zbrodniarzem, szukającym pociechy w pełnej butelce, niżeli nad ~~[illegible]~~ pysznym mędrcem, który ułożył sobie plan odbudowania świata lub narodu [wskrzeszenia] ~~tego, co Bóg stworzył~~, ~~uszczęśliwienia tego~~ i siebie ma za skończonego, za wszechmocną istotę. — Bo pierwszy, póki trzeźwy, czuje poniżenie swoje i niemoc, zwróci się do Ciebie i szuka poprawy, a drugi na Cię nie pamięta, bo wciąż pijany swoją myślą, swoją energią i swojem ja.

Z taką myślą własną, z takim planem gotowym, wstąpiłem i ja do klasztornego życia. Plan ten nie tkwił w głowie, nie był ułożony z góry, bo byłbym go spostrzegł niebawem, lecz spoczywał głęboko, aż na dnie serca. Wiedziałem, że tam coś się lęże, że tam coś gości nieporządnego, ale nie miałem nigdy odwagi zajrzeć w oczy nieznanemu gościowi, żeby nie być zmuszonym wypędzić go. Było mi dobrze z nim poniekąd, dla tego milcząco zezwalałem na pobyt jego. Liczyłem na jego dyskrecję, że będzie zawsze grzeczny, i że mnie nie skompromituje. Tym gościem było moje stare ja.

Czyż więc nie wyrzekłem się przeszłości, opuszczając świat na zawsze? Oh Boże, świat zewnętrzny porzuciłem ochotnie, światu wewnętrznemu pozwoliłem zostać. Wszystko, co świat daje i dać może ulubionym swoim, uważałem za błoto i glinę: wszystkie zaszczyty, zabawy, sławę, bogactwo rzuciłem mu z pogardą pod nogi.

Myślałem, że robiłem wielką ofiarę, a łudziłem się, bo się uczyniłem raczej. To co poświęciłem, było mało warte, bo młody człowiek ma całą wartość swoją w przyszłości. Poświęciłem przyszłość, a zatem coś, co mogło być albo nie być, podług woli Stwórcy, poświęciłem fantom myśli mojej a zachowałem rzeczywistość. Tą rzeczywistością było moje ja. Tak mniej więcej myślałem, wchodząc do Klasztoru:

Poświęcam wszystko, co świat i zmysły dać mogą, z chęcią aby odtąd jedynie służyć Bogu i po <u>wypamiętywaniu prawdy</u>. Będę kontynuował obok teologii moje studya filozoficzne i dojdę do ideału mego: do człowieka bogobojnego, który oderwany od świata, żyje tylko z Bogiem i z prawdą, i bada ją w dziedzinie teologii i filozofii. Owocem tych badań będą głębokie dzieła, które Zgromadzeniu przyniosą chwałę, narodowi pożytek, a mnie zasługę przed P. Bogiem. Po wielu latach pracy zasnę spokojnie, z powagą mędrca sędziwego i powiedzą o mnie żył dla Boga i dla prawdy.

A ja powiadam dziś, że byłbym tylko żył dla siebie bo cały ten plan szczegółowy wymyśliłem jest moim i wyobraźnią własną. Na wykonanie tego przychodziły mi naprzód rozmaite pokusy: Nawet po wyświęceniu zaproponują mi przełożeni objąć rząd małej parafii w jakimś odległym kącie kraju — i oto wtedy

będzie z planów Twoich? Na tę myśl skoczyłem, przyznaję się ze strachu, jak obłąkany: jak to, więc tyle lat pracy, studyów, zabiegów na to zmarnować, aby uczyć kilkudziesięciu chłopców Katechizmu. Tego nie uczynię, nigdy! A gdzież posłuszeństwo, gdzież wyparcie się własnej woli? Zagłuszałem sumienie, odpowiadając: nie możliwem jest, aby przełożeni do tego stopnia nie rozumieli interesu swego i kraju, aby siły Twoje, które mogą wydać przyszłego teologa, zmarnować na tak liche posługi. Zresztą sam ich o tem z łatwością przekonasz.

Ta odpowiedź moja nie zadawalniała mnie wcale, bo łatwo jest, nakłonić przełożonych do swoich widoków i własne pomysły przedstawić im jako wolę Bożą, ale trudno oszukać siebie samego. Czułem, że gdyby cały plan mój ziścił się w zupełności i nawet wydał owoce obfite, nie będę w prawdzie. Niepokój mój nie pochodził stąd, żem się lękał o niewydanie planu, jak raczej ze strachu przed udaniem się. Bo sam punkt wyjścia był fałszywy. Nie byłem powinien mieć planu gotowego, nawet żadnej myśli, żadnej chęci własnej, oddając się Bogu. Należało się oddać Jemu bezwarunkowo. Należało się oddawać Mu nieokreślenie, aby mógł je wychować, ~~ciastem~~ być gliną, aby mógł z niej co ulepić — a ja mu przyniosłem gotowego człowieka, gotowe zaczynie,

skończone Ja. Taka ofiara nie może się Bogu podobać, bo nie jest godna Jego majestatu. On tylko miłości od nas wymaga, ale więcej coś. — Przychodził mi argument obrońcy.

Skoro tyle lat pracowałeś w jednym kierunku, a nawet nie mało przygotowałeś materyały do dalszych prac i nie jedno zrobiłeś a inne masz rozpoczęte, widomo, że P. Bóg chciał, abyś się gotował na filozofa teologa, a niczem innem nie zajmował. Ten argument lichy długo mi służył za tarczę i opiekę. A przecież tak Tatuś mi odpowiedział: Jeżeli Pan Bóg zechce, żeby dzieło jakie zostało spełnione przez Ciebie, to choćbyś nie chciał, będziesz je musiał robić. Na cóż się spieszysz z własnym planem, na co wysuwać się z własną czynnością. Że pracowałeś lat wiele w jednej rzeczy i nawet doszedłeś do pewnych wyników, nie jest dowód żaden. Naprzód wyniki te są bardzo lichę, w pokorze znajdziesz, że nie z Boga się rodzą. Ale jeżeli Bóg chce, abyś na przyszłość to robił, to nie troszcz się o to, nie myśl o tem, nie rób przedłożenia żadnych przedstawień w tej rzeczy, nie wpływaj na nich, lecz poddawaj się bezwarunkowo. Kochaj Boga bez zamiaru, bez celu.

W innej rzeczy mógłbyś się tłumaczyć nieświadomością, ale tu ten argument Ci nie posłuży, bo Bóg wyraźnie Ci powie

co masz robić. Obecnie jesteś nowicjuszem, masz wstawać wtedy, wychodzić wtedy i t.d. Gdzież więc czas do robienia planów? Każda chwila powinna być zajęta, a gdy choć jedna nie zajęta, zdaj z niej sąd surowy. Nawet o umieraniu myśleć Ci nie wolno, bo nie wiesz, czy Bóg Cię powoła do siebie, może chce abyś umarł nowicjuszem i t.d. a zresztą, gdy zostaniesz zakonnikiem, reguła Ci wskaże, jakiemi myślami zajmować się trzeba – dzisiaj zaś myśleć o tem co będzie, jest ciężkim grzechem, bo przynosi uszczerbek czasowi poświęconemu na nowicjat i przeciwko Bogu. Gdy przez całe życie tylko o dniu dzisiejszym myśleć będziesz i jego obowiązkach, a nigdy o przyszłym, będziesz dobrym zakonnikiem.

Rzym 9. maja 1869.
(Podczas rekolekcyi)

Od kilku miesięcy, prawie od pół roku, nie zajrzałem do tej księgi i nic w niej nie zapisałem. Gdzie indziej także nic nie pisałem. Listów mało odebrałem a mniej jeszcze wyprawiłem. Nastała stagnacya zupełna w pisaniu. Skąd to poszło? Jaka temu przyczyna? Czyż zabrakło materyału, czyż nie było ani jednego zdarzenia, godnego zapisania, ni myśli jednej, zasługującej na spamiętanie? Och nie! Było

ich wiele, bardzo wiele. Ale lenistwo moje było nieprzezwyciężone.
Trzeba wiedzieć, że jestem niesłychanie ciężki do wszystkiego,
a do pisania, to już niewypowiedzianie. Gdy mam krótką chwilę
wolną, z pewnością nic nie napiszę, bo przejście z jednego stanu
do drugiego odbywa się we mnie bardzo powoli. Bardzo niechętnie
rozstawam się z tem, co zacząłem, odrywam się od zajęcia niby
ociągając, ale nie odskakuję od razu, a za nim przystąpię do
rzeczy nowej, oglądam ją z wszystkich stron, powoli i z wielką
flegmą do niej się zbliżam i po długiem wahaniu się, namyślaniu, próbowaniu, dodawaniu sobie otuchy, nareście ją obejmuję.
Podobny jestem do ślimaka, który z domkiem swoim bardzo
powoli się odczepia, potem leniwie na drugie miejsce się przenosi,
a tam jeszcze leniwiej, jeśli być może, na nowo się umieszcza.
Ale gdy już przyczepiony, to lubi siedzieć, i za nic w świecie
nie rzuciłby swego miejsca. Jestem ślimakiem wśród duchów.

Ty wiesz, mój Boże, że i w modlitwie nim jestem, że i do
Ciebie przychodzę leniwie i po długim namyśle, a zawieszam
się na Twoim Krzyżu bardzo niechętnie. Ale niech zawieszonym się
czytelnik pomyśli, że wtedy wiszę na długo – na nieszczęście robię
to we wszystkich złych rzeczach, ale od dobrych zaraz się odczepiam;
ledwo dotknąwszy się Boga, od niego odpadam, i znowu się

czołgam po brudach. Jezu Chryste! Kiedy się poprawię? albo raczej, kiedy mnie zmienisz? bo sam, straciłem wszelką nadzieję poprawy. Zła natura nic w sobie nie ma, na czemby oparła swoje polepszenie, ona ani gruntu nie ma ani trwałego materyału.

Były też i zewnętrzne przeszkody, dla których nie pisałem przez tak długi przeciąg czasu. Od grudnia aż do kwietnia nie sposób w Rzymie pisać w nieogrzanym pokoju, tak dalece niska temperatura przykra jest dla palców. Nie pisząc omroziłem sobie palce, cóżby było się stało, gdybym pióra nigdy z rąk nie był wypuścił? A nie mniej ważna przeszkoda w licznych świętach i kościelnych uroczystościach, które mi bardzo wiele zabierały czasu. Rzadko gniewałem się na nie, i choć zimno i ozięble, przecież najczęściej brałem w nich udział bez wstrętu. Wszak lepiej siedzieć w Kościele, w sąsiedztwie P. Jezusa, nawet nie modląc się, aniżeli pisząc uczone głupstwa, któremi dusza się nadyma a wewnątrz próżną zostaje. A cóż bym był mógł napisać wielkiego, ja, który jestem uosobioną mizernością. Nikt na tem mojem nie pisaniu zaiste nic nie stracił, a więc było zbytecznem, jak i te obecne gryzmoły moje, które sam nie wiem, po co na papier przenoszę. Zapewne dla tego niemi się bawię, aby czas jakoś się zabić, bo mi przyjemnie gadać o sobie i kreślić piękne słówka

Gdybym miał czas ten przepędzić na rozmowie z P. Jezusem, na kolanach, prędko bym ustał i niewypowiedzianie wydawałbym się wątłym i upadającym, ale gdy o mnie chodzi, o moje ja, wtedy zaraz jestem pełen uwagi, pełen wytrwałości. Dla P. Jezusa często nie mogę się zdobyć ani na jedno słowo, podczas gdy o sobie pisałbym całe arkusze, bez przerwy, bez wytchnienia. Straszne ja na spodzie wszystkiego, co czuję, co myślę, co robię. Kiedyż zniweczysz, mój Jezu, tego rywala Twego i zdrajcę, abyś odtąd Ty tylko górował na głębi jestestwa mego? –

Uroczy to miesiąc! cudowne niebo a rajskie powietrze! Kaplica nasza pełna kwiatów i woni, otaczających obraz Bogarodzicy. Zawiesiliśmy go nad ołtarzem, bo to Jej miesiąc. Wszystko kwitnie, śpiewa, raduje się, skacze, wszystko tchnie pogodą, weselem, pokojem i słodyczą. Bo to miesiąc Maryi. Nawet moje lenistwo porusza się i czołga się do Jej nóg dziewiczych, bo instynktowo czuję, że tylko u Niej dla mnie zbawienie. Jeżeli Ona nie wyprosi mi innego serca i natury innej, wtedy pozostanę na zawsze kaleką moralną, niedołęgą w porządku duchowym. To też wziąłem na początku tego miesiąca heroiczne postanowienie, żeby być pobożniejszym, niż zwykle, i tylko myśleć o Maryi. Ale postanowienia moje rozwiewają się jak

plewy, za lada podmuchem, nie ma w nich ani jednego ziarna, zdatnego na posiew. Ach, daj mi dobrej pszenicy, N: Panno, i niech serce moje zasieleni się oziminą nadziei i miłości. Ślubowałem Ci wieczną niewolę, pamiętasz, ostatniego wieczora kwietniowego, gdy zaczynano nabożeństwo wieczorne na cześć Twoją, i gdy porwany śpiewem pobożnego ludu, zawołałem w uniesieniu: Tylko Jej służyć! - a wszystko inne głupstwem i marzeniem. Takie było postanowienie moje, takie moje śluby! Co dzień je sobie przypominam, i co dzień o nich zapominam.

Postanowiłem na wszelkie objawić moją służbę, odmawiając przed każdem zajęciem, przed pracą każdą, jedno Ave. Ale i tego nawet najczęściej zapominam, choć tak lekki warunek. Tak mi trudno skupiać się i pamiętać. -

Rzym 11. maja.

Wczoraj rano zacząłem z młodym Niemcem, który do nas przyjechał na braciszka, z polecenia O. Przełożonego, miesięczne rekolekcje. Przybywa wprost z Wiednia i nie mówi innym, jak niemieckim językiem. To jedyny powód, dla czego O. Przeł. pod moją oddał go dyrekcyą, bo tak jestem nieudolny i niewprawionych w rzeczach duchownych, że tylko najwyraźniejsza potrzeba niewolić mogła O. Prze. do takiego kroku. Proszę codzień N: Pannę, której ten miesiąc poświęcony,

aby mi dozwolił nie zupełnie zwichnąć mego zadania. Bo wielkich rzeczy nie zrobię, to pewna. Ale myśl, że to dusza zupełnie odłogiem leżąca – ostatni raz spowiadał się w czerwcu przeszłego roku – myśl ta dodaje mi zapału, a ciężka odpowiedzialność, jaką wkłada na nas staranie o cudzą duszę, pobudza mnie do uwagi i ostróżności, do czuwania i wytrwałości.

Urządziłem się tak, że codzień dwie medytacye z Franzem, tak nazywa się nowy braciszek, odbywa wspólnie całe, i to w taki sposób, że odbywam je głośno, zostawiając od czasu do czasu wolną chwilę, by zdołał i moje myśli sobie przyswoić, i własne do nich dodać. W dwóch innych zaś, w 2giej i 3ciej, w ciągu pierwszego ~~punktu~~ kwadransu podaję mu główne punkta, nad któremi ma medytować, a potem opuszczam go, klęczącego i pogrążonego w modlitwie. Każda medytacya trwa godzinę całą, a jeżeli P. Bóg, jak tuszę sobie, za przyczyną N. Panny, nie poskąpi łaski swojej, to młody chłopak w ciągu tygodnia zupełnie się przeobrazi.

Treścią wczorajszych medytacyi było: 1° O celu człowieka 2°, o celu innych stworzeń – 3° Stosunek człowieka do innych stworzeń; 4° Rekapitulacya trzech poprzednich. Dzisiaj zaś odbyliśmy pierwszą, ranną medytacyę o grzechu Aniołów i o grzechu Adamowym; zastanawiając się nad istotą grzechu i jego skutkami. Drugą poświę-

cona była rachunkowi sumienia z całego życia i obudzenia w sobie wstrętu do grzechu oraz żalu i skruchy; a trzecia była rekapitulacyą dwóch pierwszych. Czwartą odbędę, jeżeli P. Jezus pozwoli, o śmierci. –

Rzym 4 czerwca.

Wczoraj przepędziliśmy dzień cały w Frascati. O 3ciej była msza ś. a o pół do piątej, po kawie, wyruszyliśmy w pochód. Poranek był prześliczny, jasny i pogodny, a przytem chłodny i orzeźwiający, jak już dawno nie pamiętam. Stanęliśmy na miejscu coś po 9tej, w klasztorze Teatynów, gdzie nas się spodziewano. Do obiadu zostaliśmy prawie wszyscy razem, O. Przełożony czytał nam list Matki Przełożonej z Jazłowca opisujący świętą śmierć młodej jednej Niepokalanki, pierwszej, którą śmierć zabrała w tym domu, a chorobę przykładną drugiej, która otrzymała błogosławieństwo O. Świętego, a o której wyleczeniu jeszcze nie zwątpiono.

Po obiedzie O. Karol opowiadał wypadek z ostatnich dni życia Alexandra I i recytował wersze co do śmierci jego; opowiadanie, jak zwykle, nie skończyło, więc część naszych porzuciła koło słuchaczy i udała się do willi Aldobrandinich. Tam chodziliśmy dwie godziny wśród żywego deszczu, podziwiając piękne drzewa i całe urządzenie ogrodu; widokami oczywiście nie zachwycaliśmy się wiele, bo wszystko było w mgle i cieniu chmur. Przez całą przechadzkę towarzyszyłem

niedostępnie bratu Leonowi, bo jeden parasol obydwu nas zasłaniał. Około pół do piątej wieczorem zaczęliśmy powrót: jedni koleją, kilku wozem, a wszyscy pieszo. Między tą wszystkością byłem i ja z bratem Leonem. Może w pół godziny po wyjściu naszem z miasta zaczął się deszcz straszliwy; towarzyszy naszych straciliśmy niebawem z oczu, bo zbyt pośpieszali i tak pozostaliśmy sami, brat Leon i ja. Otwarty parasol nie wiele nas zasłaniał, na drodze ani drzewa ani innego schronienia, dokoła nieprzejrzana kampania, zakryta ruinami, zamroczona strumieniami deszczu; przed nami i nad nami niebo czarne, gniewliwe, za nami w dali Frascati i góry albańskie, jaśniejące wesołą pogodą. Mimo parasola przemokliśmy nie długo do nitki; buty zwinęły się na wodzie niby papier zmoczony, odzież przylgnęła do ciała. Tak szliśmy dalej, w potężnym deszczu, dobrą godzinę a może i więcej, aż do samotnej karczmy, skąd właśnie wychodzili towarzysze nasi, nie mogłszy się nas doczekać! Byli przemoknięci, jak my, i nie chcieli dłużej pozostać, w niem zupełnie mieli racyę, bo mogli się łatwo zaziębić. Byliśmy więc znowu sami z bratem Leonem, i siedząc w brudnej karczmie, na wązkiej ławce, przy cierpkim winie i chlebie z szynką, odpoczęliśmy dalej żywą rozmową, (dzięki której) przez całą drogę nie myśleliśmy ani o deszczu ani o mokrych nogach. Wychodząc z karczmy spotkaliśmy próżno wracającą

dorożkę, skorzystyliśmy z okazyi i pobrawszy dwóch z naszych towarzyszy, pospieszyliśmy do domu. Na piechotę mieliśmy jeszcze dobrej półtorej godziny; trudno więc ~~nie~~ było nie korzystać z tak pomyślnego trafu. Ale mniejsza o te małe niezgody, które już wieczorem przypominaliśmy sobie z wesołym humorem, w ciągu drogi nie myśleliśmy o nich wcale. Tak daleko byliśmy zajęci rozmową. A co za rozmowa! Pozostanie mi na długo pamiętną. Dwie godziny w ogrodzie Aldobrandinich i drugie dwie w drodze rozmawialiśmy z bratem Leonem w dwóch bez żadnej przerwy, bez żadnego prawie przymieszania trzeciej osoby. Jak one szybko upłynęły, te cztery godziny! Ile przedmiotów poruszyliśmy nowych a ile starych obejrzeliśmy z nowego punktu widzenia! Chciałbym ja spisać tę całą rozmowę, byłby to spory tomik pełen ciekawych, oryginalnych poglądów na ważniejsze kwestye bieżące. Ta nowość i oryginalność oczywiście nie jest ~~moja~~ zasługą, bo we mnie, istocie niedołężnej i mało mownej, brak zupełny oryginalnej twórczości. Cała w tem zasługa brata Leona. On taki rozmowny, taki zawsze nowy i świeży w wszystkich myślach swoich. Moja zaś rola w tych rozmowach nie inna, co krzemienia, który sam z siebie ognia nie wydaje, ale gdy stal o niego uderzy, pryska na wszystkie strony iskrami. Taki nasz wzajemny stosunek: ja jestem martwym krzemieniem, brat Leon stalą krzeszącą ogień. Bo on naprawdę stalą.

Spiszę jednak niektóre punkta, dla lepszego ich spamiętania. Może kiedyś wyprowadzę je obszerniej. Oznaczę je numerami.

1. Stosunek podbitego ludu do swoich panów. Podbój jest gwałtem, który dopiero wtedy staje się legalnym, jeżeli strona podbita wciągu kilku generacyi przeciw gwałtowi nie protestuje. Tak n.p. podbój Alzacyi przez Francyą stał się legalnym stosunkiem. My od wieku ciągle się opieramy, to też podbój na nas dokonany, ciągle jeszcze jest bezprawiem. Kościół uświęca opór przeciw temu bezprawiu, jeżeli opór ten ma widoki udania się, ~~jak~~ przeciwnym razie go potępia, i to bardzo słusznie.

2. Znaczenie siły, prawo mocniejszego. Siła przez jednych historyków zupełnie jest ignorowaną, potępianą, ~~przez~~ innych ubóstwianą, jako najwyższa potęga moralna. Obie szkoły są w błędzie dla jednostronności swojej, bo siła nie jest sama z siebie prawem moralnem, legalnością, ale sama z siebie też nie jest bezprawiem, ona ma w sobie zarodki prawa i bezprawia, jak każda ślepa siła, ale ta siła, tem samem, że jest, ma istnienie uprawnione, z którem trzeba się liczyć, a którego bezwarunkowo nie godzi się odrzucać. A im więcej się przypatrujemy sile, tem więcej odkryjemy w niej uprawnionego istnienia. N.p. przeciw słabemu narodowi występuje gnębiąca go siła, mniejsza o to, czy czysto fizyczna, czy też intelligentna. Siła ta wychodzi z przeznaczenia Bożego, bo bez Jego woli nie spadłaby na słabszą ową jednostkę polityczną. Same

jej zesłanie jest wskazówką, że w tej słabszej jednostce jest jakiś nieporządek, który Opatrzność chce naprawić. Jednostka więc słabsza powinna tę siłę zrozumieć i z niej skorzystać. Jeżeli zabierze się do zrozumienia jej z światłem Bożem, to niewątpliwie z dwojga jedno się okaże: albo ta siła obca prowadzi w skutkach swoich do złego i wtedy zesłana na to, aby ów słabszy organizm odpierając ją sam się wzmocnił w tej walce, a przez to nieporządek swój naprawił, albo też siła to dobra, a wtedy organizm ów powinien ją sobie zasymilować, i jej sokami własne, zapsute, niedość silnie krążące, naprawić. Stały organizm więc w jednym i drugim razie skorzysta – a nie tylko może, lecz __powinien__ skorzystać, bo na to siła owa zesłana. Jej racya była w jego nieporządku, i ta racya bytu ma w sobie coś moralnego, rozumie się __relative__. Bo z porządkiem Bożym nie zgadza się, aby istniał nieporządny organizm, on musi albo się naprawić, albo zupełnie przestać istnieć. Jeżeli pierwszego uczynić nie zechce, to nastąpi drugie, jako nieodzowna kara. Dziwię się, że ludzie tego dotąd nie zrozumieli. Dotąd uważają siłę za coś niemoralnego, które trzeba absolutnie zaprzeczyć, które powinno nie być! Ale rzecz ma się przeciwnie. Kat n.p. nie jest sam w sobie moralną instytucyą, ubóstwienie kata, jako najwyższej normy porządku moralnego byłoby bezeceństwem, lub szaleństwem – ale w obec zbójców jest on nie tylko uprawniony, jest on konieczny. Ale czyż o tem, co jest konieczne

w porządku Bożym, powiemy, że jest złe? twór Boże — a więc jest bezwarunkowo dobre? Także nie — jest dobre w stosunku do nieporządku, który przez tę siłę ma być usunięty — nieporządek jest absolutnie zły, przeciw niemu występuje potęga, sama z siebie ani dobra ani zła, w stosunku do nieporządku zaś dobra, bo z usunięcia nieporządku wynika więcej dobra, a nieporządek tylko przez ową potęgę usuniętym być może.

Przejdźmy teraz do konkretnego przykładu. Naród jaki żyje sobie niedołężnie. W tem jest nieporządek, którego Opatrzność ścierpieć nie może. Chcąc dopomódz temu narodowi do usunięcia nieporządku, zsyła na niego siłę obcą. Cóż powinien ten naród? Czy zaneguje siłę? t.j. czy on odepchnąć ją, pragnąc ocalić swój status quo? Ale samo to pragnienie sprzeciwia się wyrokom Opatrzności. Powinien więc naród zacząć od tego, żeby zrozumieć tę siłę — do tego potrzeba mu światła Bożego. Jeżeli za pomocą tego światła pozna, że to siła zła, grożąca mu utratą bytu, religii, mowy i t. d. to powinien ją odepchnąć. Ale sam tego nie uczyni, bo jest w nieporządku — gdyby był w porządku, t.j. w sile, owa siła obca nie mogłaby nic przeciw niemu, tak jak kat nie może nic przeciw ludziom niewinnym. Powinien więc wejść w swój nieporządek, zrozumieć go, i prosić P. Boga o potrzebną siłę, P. Bóg mu ją da, a wtedy i po wyzwoleniu porządku wewnątrz jego organizmu, zniknie zaraz owa siła obca. My jednak Polacy postępu-

jemy sobie przeciwnie. My chcemy bezwarunkowo odeprzeć siłę obcą, a nie wchodzimy w nieporządek nasz, t. j. uważamy ten nieporządek za nam obcą, godziwą, by została zachowaną. Tak jesteśmy w zupełnej sprzeczności z widokami Opatrzności. —